XXIII. Kraków, 15 września 1920 r. Nr. 18.



„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 34 M. 20 f. Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 63 (dom własny). Telefon Nr. 470

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 2·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 3, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 4·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 12.

Numer pojedynczy 6 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 6 Marek.



— Powiedz mi Marylko czy on ma realne zamiary?
— Ładnie realne!.. Ciągle gada, że się ze mną ożeni!

Z posiedzeń Ligi kobiet.

(Wyjątek z protokołu obrad).

Panna Pyskalska (stara panna kończąc swą mowę): Z tego, co szanownemu zgromadzeniu dotąd powiedziałam, wynika jasno, że bez mężczyzn obejdziemy się zupełnie i dlatego jestem zatem, abyśmy wypowiedziały tym darmozjadom, którzy utrudniają nam stale zdobycie należnego stanowiska w społeczeństwie, walkę na śmierć i życie!...

Pani Lubidziecka: Proszę o głos w kwestyi nagłej!

Przewodnicząca: Pani się zawsze spieszy, ale niech pani mówi!

P. Lubidziecka: Moje panie!... Bardzo to ładne, to, co powiedziała nam pani Pyskalska, ale o tyle tylko, o ile rozchodzi się o walkę społeczną... Cóż ma jednak począć kobieta, chcąca się doczekać potomstwa?... Bez męskiej pomocy się nie obejdzie, dawny system utrzymuje się nadal!

Głosy: A teorye panny Mallvie z Filadelfii?...

P. Lubidziecka: Naukowo nie zostały stwierdzone. Wobec tego stawiam wniosek nagły:

„Zgromadzenie uchwala: Mężczyzn uważa się w niektórych wypadkach jako zło konieczne i jako takich toleruje".

Rzęsiste oklaski.

Przewodnicząca dzwoni: Nagły wniosek pani Lubidzieckiej poddaję pod głosowanie. Kto jest za, raczy rękę podnieść!... Ale tylko jednę, bo widzę, że jedna z pań podniosła obie!...

Wniosek przyjęto wszystkimi głosami przeciw głosom starych panien, wyżej lat pięćdziesięciu i bezdzietnych mężatek.

Bezpośrednio po zapadłej uchwale, pani Lubidziecka opuściła zebranie. Na zapytanie dokąd tak spieszy, odpowiedziała, że musi męża zawiadomić o tej uchwale.

Miła rodzina.

— Nie pojmuję, jak można być tak rozrzutnym i tak lekkomyślnie wydawać pieniądze!... — narzekała mama, gdy synek poprosił ją o „zaliczkę"... — I ty i Mania dostajecie jednakową pensyę co miesiąc. Ty już koło piętnastego nie śmierdzisz fenigiem, a ona stale co miesiąc składa po kilkadziesiąt marek do kasy.

— Tak!... — synek na to — Ale właśnie to, na co ja wydaję pieniądze, jej przynosi dochody!... W takich warunkach to nie sztuka robić oszczędności...

Okoliczność łagodząca.

Oskarżony stoi ławy,
Smutny blady, na kształt chusty,
Dzielnie broni jego sprawy,
Pan mecenas złotousty.
Przekonywa sąd ze stali,
Mową silną i gorącą,
Prosząc sędziów, żeby dali
Okoliczność łagodzącą.
Bo — powiada pan jurysta
Rzecz rozważyć trza z tej strony,
Że przestępca — oczywista,
Jest dziedzicznie obciążony.
Trzeba zmiękczyć w tym wypadku
Wyrok, co być może srogi,
Bo on wziął po ojcu w spadku,
Złe skłonności i nałogi.
— Skąd? — pytają się sędziowie,
O czem pan tu napomyka?
— Prosta rzecz — adwokat powie —
To jest syn.... kamienicznika!

Urzędnicza dola.

— Służę rządowi już lat trzydzieści i cóż mam z tego?... — skarżył się pan oficyał przed kolegą — Hemoroidy z siedzenia i reumatyzm, gdyż moje biurko stoi koło okna, a z okna ciągnie!...

Różnica.

— Jaka jest różnica między zwykłym ślubem, a srebrnem weselem.

— W noc poślubną wstydzi się panna młoda, a noc zaś po srebrnem weselu prawie z zasady pan młody!...

Z wykładu.

— Fałszywem jest, moi panowie, twierdzenie, jakoby przy dokonywaniu wielkich dzieł jedynie tylko głowa miała być braną w rachubę!... Królowa Ludwika uratowała w Tylży Prusy od zagłady, a głowa jej w tym wypadku nie miała nic do czynienia!...

I adwokat nie zastąpi.

W handelku toczy się rozmowa o tem, który zawód najpotrzebniejszy. Każda liszka chwali swój ogonek, więc też pan doktór medycyny utrzymywał że lekarze, choć bowiem nie byłoby może tyle chorób, gdyby ich nie robili, lecz nie miałby kto ich leczyć, ksiądz przemawiał za swym stanem, aptekarz za swoim.

— A ja panom mówię, że stan adwokacki jest niezbędny. Poprostu nie można się obejść bez niego!... Adwokat zastąpi w każdej sytuacyi!

— O!... Co to, to nie!... Pozwoli mecenas, że się sprzeciwię!... — przerwał pan Karol.

— Pozostaję przytem, co powiedziałem i gotów jestem założyć się!... Jeśli mi pan potrafi przedstawić taką sprawę, w której ja go zastąpić nie mogę, płacę to śniadanie!... — odparł mecenas.

— I owszem!... — rzekł spokojnie pan Karol. — Dziś zażywałem gorzką wodę i właśnie teraz muszę pójść tam, gdzie pan wie!... Proszę mnie w tej sprawie zastąpić, ale ze skutkiem dla mnie!...

Wstał od stołu i chwilę czekał, ale, gdy się adwokat nie ruszał, rzekł:

— A widzi pan!... Obejdę się bez adwokackiej pomocy...

Wziął w kieszeń kawałek papieru, klucz z kołka i poszedł, reszta towarzystwa wołała zaś:

— Brawo!... Mecenas dziś płaci za wszystkich śniadanie!...

Z mądrych myśli.

— Powiadają, że kura jest mądrzejszą od jaja, a tymczasem i jajo nie jest takie głupie jakby się może komu wydawało, skoro wie, którędy ma wyjść na świat Boży!...



PODRÓŻ POŚLUBNA

(TAKA SOBIE HISTORYJKA).

Mężczyzna nazywa kobietę swem słońcem, nic też dziwnego, że w myśl zasady ś. p. Kopernika (*De orbium coelestium revolucionibus*) kręci się koło niej, aż sobie wykręci małżeństwo, czego potem nieraz już poniewczasie żałuje.

W tem położeniu był i pan Kazimierz, który miał wiele takich „słońc", koło których się kręcił i w żaden sposób nie mógł się zdecydować na wybór. Ostatecznie wybrał sobie pannę Józię, ale nie dlatego, jakoby mu się ze wszystkich najbardziej podobała, lecz, ponieważ najbardziej ją chwalili i zalecali jego przyjaciele i koledzy zawodowi, a on był zdania, że *vox populi, vox Dei* (co w Krakowie tłumaczą: „Sługi Boga nawołują, aby nie prenumerował „Głos Narodu"*)*.

Odbył się ślub, po ślubie uczta weselna, po niej noc poślubna, panna Józia przestała być panną, została natomiast panią Kazimierzową i z miejsca „osiodłała" swego małżonka, to jest wzięła go pod pantofel, aby się spełniło, co jest napisane przez proroka, że *mężczyźni rządzą światem, a mężczyznami kobiety.* Tak było zawsze, tak jest i tak będzie, aż do skończenia świata. Pan Kazimierz nie był zatem wyjątkiem. Wszak i pan Paderewski, choć sam muzyk pierwszej klasy, tak tańczy, jak mu żona zagra, choć podobno nie jest muzykalna.

Ożenił się zatem pan Kazimierz, czemu się dziwić nie można. Chciał sobie osłodzić żywot, a nie mogąc się doczekać na przydział cukru, postanowił szukać słodyczy w małżeństwie.

Czy ją znalazł, to już inna rzecz. Są tacy, którzy chwalą małżeństwo, jako bardzo mądry wynalazek, ale nie brak i takich, którzy gorzkiemi łzami opłakują ten, jak potem nazywają, *błąd młodości...*

W tydzień po ślubie oświadczyła pani Józefa panu Kazimierzowi, że należałoby się wybrać w podróż poślubną, gdyż ona małżeństwa bez takiej podróży nie rozumie. Starał się ją odwieść od tego zamiaru, tłumacząc, że teraz koleje tak podrożały, że wygodniej spędzić miodowy miesiąc we własnem łóżku (z zupełnie nowym materacem i bez pluskiew), niż tłuc się po obcych łóżkach, ale to nie pomogło. Wiadomo, że kobiety są uparte, a gdy się taka uprze, niema na to lekarstwa. Musi stanąć na tem, czego ona żąda.

Stanęło więc i teraz. Pan Kazimierz musiał się zgodzić, zwłaszcza, że miał pieniądze, gdyż zarobił na spekulacyach rublami „Denikina".

Podróż poślubna jest obecnie o tyle ułatwiona, że nie można się puszczać za granicę z powodu niepewnej sytuacyi politycznej, musi się zatem ograniczyć do zwiedzenia własnego kraju i kąpania we własnem morzu (które zresztą nie jest jeszcze nasze). Pani Józefa miała ochotę do Zakopanego, pan Kazimierz obrał jeszcze inny kierunek, gdyż, jako człowiek praktyczny, chciał połączyć przyjemne z pożytecznem, a miał w Galicyi do załatwienia kilka interesów handlowych w zupełnie innej stronie. Tym razem stanęło na tem, co postanowił. Pani Józefa nie oponowała. Jej było wszystko jedno, dokąd jechać, byle jechać.

Zabrali zatem manatki i udali się na dworzec kolejowy, odprowadzeni przez grono przyjaciół i znajomych, którzy im życzyli wesołej zabawy, szczęśliwej drogi i rychłego powrotu nie wykluczając katastrofy kolejowej, na czem pan Kazimierz mógł tylko zrobić dobry interes, był bowiem ubezpieczony od wypadku i zapłacił dopiero pierwszą premię.

Maszynista gwizdnął, stary wagon jęknął, pociąg kolejowy ruszył ciężko naprzód, uwożąc młodą parę.

Na peronie zostali przyjaciele i znajomi, między nimi pan Stefan, który z ogromnym rozmachem wymachiwał na pożegnanie kapeluszem. Chciał chustką, ale się przekonał, że jest już dość brudna.

Pierwszym etapem w podróży poślubnej miał być Tarnów. Państwo Kazimierzowie zajechali do jednego z tak zwanych pierwszorzędnych hoteli, które dlatego tak się nazywają, ponieważ w nich obdziera się ludzi do *ostatniej skóry.* Hotel ten zachwalała pani Józefa, twierdząc, że zna Tarnów, gdyż nieraz tu jeździła do cioci, obywatelki niegdyś miasta Tarnowa, dziś już Królestwa Niebieskiego.

Zaraz na wstępie pierwsza niespodzianka. Służący, który z doróżki przenosił kuferek młodej pary do pokoju, ujrzawszy panią Kazimierzową, rzekł w tonie bardzo poufałym:

— Całuję rączki!... Już tak dawno paniusi nie widziałem... A pytał się tu o paniusię jeszcze kilka razy ten oficer...



Przy protokóle.

(Rzecz dzieje się na inspekcyi policyjnej).

— Nazwisko?
— Felek Makolągwa.
— Zawód?
— Kandydat na ministra...
— Tylko bez kpin!
— Ja, panie komisarzu, mówię całkiem poważnie, niech mie tak szlag trafi zaraz teraz, albo zaraz potem, jeśli kłamię!... Nie mam to domowego wykształcenia?
— Czem są rodzice?
— Ja nie mam rodziców!... Ciotka mie z litości porodziła, bo matki nie było wtedy w Krakowie. Jestem sierota od samego urodzenia!
— Rodzeństwo?
— Jest brat, jedynak.
— Czem jest?
— Jest na uniwersytecie...
— Na jakim wydziale?
— Na doktorskim!
— I nie wstyd cię?... Tyś nicpoń, a on będzie doktorem!... Hańbę mu przynosisz!
— On, panie komisarzu, nie będzie nigdy doktorem!
— A to dlaczego?
— Bo on tam jest w słoiku ze spirytusem. Urodził się z dwiema głowami.
— A oprócz niego jest jeszcze kto?
— Jest jeszcze siostra, także jedynaczka...
— Czem się trudni?
— Ona jest artystką kinematograficzną.
— Tego nie rozumiem!
— Owszem, panie komisarzu, umie różne sztuki pokazywać na prześcieradle... Jak Boga kocham!... Warto widzieć!... Facety ją za to okropnie lubią. Pół Krakowa to sami moi szwagrowie, a są między nimi nawet i radcy... A jakże!...



Golizna.

Co najwięcej w życiu boli?
Co zamienia je w mozoły?
To, żem goły, żeś ty goły
Ona goła i on goły
Że i oni także goli!
Pan Bóg stworzył nam anioły
Na osłodę gorzkiej doli
Lecz cóż z tego? anioł goły
Jest skazany na mozoły
I stąd to nas serce boli
Bom ja goły, boś ty goły
Ona goła i on goły!
Myśmy goli, wyście goli
Bo i oni także goli!
Na przodków się klną popioły
Że gwałt czynią własnej woli:
Żeniłbym się, alem goły
I o to też serce boli,
Bom ja goły, boś ty goły
Ona goła i on goły
Myśmy goli, wyście goli
No, i oni także goli!

Zbyt sumienny.

— A gdzież pański dawny buchalter, panie Kohn?

— Musiałem się go pozbyć!... Choć, przyznam się panu, że mi żal, bo to była tęga głowa!

— A jakiż powód?

— Ten człowiek był zanadto sumienny i zbyt seryo pojmował swe obowiązki!

— Tego to już zupełnie nie rozumiem!... I to miałoby być powodem wydalenia go?

— Tak!... Ja to panu zresztą zaraz wytłómaczę. Jak panu wiadomo, dałem mu prokurę...

— O tem słyszałem!

— Zauważyłem już, że to był człowiek bardzo sumienny, był też zdania, że ma mnie zastępować nie tylko w interesach, ale i w sprawach domowych!... A tego od niego nie żądałem!...

Trzeba zaś wiedzieć, że pan Kohn miał młodą i przystojną żonę, a sam był już zupełnym niedołęgą!...



Kłopoty z... jaśkiem.

Są dwa rodzaje jaśków. Jedne z nich pisze się przez wielkie J i te są żywe i chodzą na dwu nogach, drugie przez małe j i te są wypchane pierzem (czasem sianem) i raz na tydzień powlekane w czyste poszewki. Tak jedne, jak i drugie mogą być powodem zmartwienia.

Jest jeszcze i trzeci rodzaj. Groch „Jasiek" sprawia także kłopoty, zwłaszcza, gdy się go kto obje zadużo.

Pani radczyni troszczyła się przecież tylko o dwa pierwsze rodzaje. Żywy Jasiek, jej syn, młodzian ośmnastoletni, był bardzo lekkomyślny i, jak mówiła, „nie na miejscu", a jaśki w poszewkach także często znajdowały się na nieodpowiednich miejscach. A pani radczyni patrzyła bardzo skrupulatnie, aby wszystko było zawsze „na swojem miejscu".

Onegdaj wchodzi do pokoju jadalnego i widzi, że jasiek leży na kanapie, Pan radca urządził sobie poobiednią drzemkę i zapomniał go sprzątnąć.

To ją wyprowadziło z równowagi:

— Tyle razy mówiłam, że miejsce jaśka jest w łóżku nie na kanapie!

I zaniosła biedaka na łóżko.

Tego samego dnia wieczorem, już koło jedenastej, zauważyła pani radczyni, że się Jasiek gdzieś podział. Nie było go już od kwadransa... Rozpoczęła zatem poszukiwania i znalazła go w łóżku kucharki, Kasi.

I to jej się nie podobało, zrobiła też z tego powodu prawdziwie arabską awanturę.

A Jasiek jej na to:

— Mamie, to niczem nie dogodzi!... Sama mama powiedziała jeszcze w południe, że miejsce jaśka jest w łóżku!...



Pani Józefa popatrzyła nań jakimś dziwnym wzrokiem, czego jednak na szczęście pan Kazimierz nie zauważył, gdyż zajęty był właśnie studyami zoologicznemi, to jest poszukiwaniem, czy przypadkiem niema w łóżku pluskiew, bo one bardzo lubią lokować się w pierwszorzędnych hotelach.

Nastąpiło wypełnienie urzędowej formalności, t. j. kartki meldunkowej.

Pan Kazimierz napisał szczerą prawdę, dodając w odnośnej rubryce „z żoną", i, rzecz prosta, nie zaznaczając, że to podróż poślubna, bo i cóż to kogo może obchodzić?

Po chwili wszedł służący z oświadczeniem, że kartka meldunkowa musi być dokładnie wypełnioną.

— Napisałem wszystko! — mówił pan Kazimierz. — Cóż jeszcze potrzeba?

— Pan dobrodziej napisał „z żoną", a tu musi być imię i nazwisko — tłómaczył *famulus*.

— To chyba wystarczy!...

— Wszystkie facety tak zawsze piszą, ale u nas jest porządny hotel i musi być imię i nazwisko tej panny!

— To przecież moja żona.

— E!... Niech mi pan głowy nie kręci!... Ja tę pannę znam!... Będzie temu z miesiąc, jak u nas mieszkała z jednym oficerem... A tu napisali „z żoną"...

Ostatecznie pan Kazimierz wylegitymował się metryką, nosił bowiem ze sobą stale wszystkie dokumenty. Odchodząc, popatrzył nań służący z jakiemś politowaniem.

Tej rozmowy nie słyszała pani Józefa, gdyż w tej chwili bawiła się w królową, to jest poszła tam, dokąd król (nawet ten z „Bagateli"...) musi chodzić piechotą.

Słowa służącego obudziły w panu Kazimierzu pewną nieufność. Po powrocie żony nie zażądał przecież wyjaśnienia, zostawiając to na później.

Na porządek dzienny, a raczej nocny, gdyż poruszono ją już po zgaszeniu światła, weszła sprawa, gdy małżonkowie znaleźli się obok siebie w hotelowem łóżku, mającem im zastąpić ich wygodne, domowe łoże. W jaki sposób zainterpelował pan Kazimierz swą połowicę, nie wiadomo, to jest jedynie pewnem, że początkowo przeczyła, utrzymując, że służący myli się co do osoby, gdy zaś mąż zaproponował konfrontacyę, rzekła:

— Aha!... Przypominam sobie!... Tak, byłam tu przed stosunkowo niedawnym czasem! Była to moja podróż poślubna.

— Jak to?... Więc już byłaś raz zamężną? — pytał ciekawie pan Kazimierz.

— Nie!... Do ślubu wtedy nie doszło, gdyż mojego narzeczonego przeniesiono nagle na front. Podróż poślubną urządziliśmy sobie przed ślubem, korzystając z tego, że miał urlop...

Panu Kazimierzowi jakoś się to nie podobało, ale cóż miał robić. Żona zresztą, jakby na przeproszenie, dała mu tyle dowodów miłości i prawdziwego uczucia, że zgodził się w duchu na to, co się już stało. Zmęczony podróżą, wrażeniami dnia itd., usnął, a obudził się, gdy już słońce było wysoko na niebie.

Zebrał się pospiesznie, miał bowiem kilka interesów do załatwienia, żonę obudził dopiero w chwili, gdy był gotowy do odejścia. Przyznawał, że zasłużyła sobie dziś na spoczynek.

— Idę Józiu! — rzekł. — Masz tu sto marek, abyś miała na wydatki... Wrócę koło południa.

Ona rozespanym ruchem, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, wzięła banknot, chuchnęła nań, potem schowała go... za pończochę... ziewnęła raz jeszcze, odwróciła się bokiem i spała dalej.

Idąc do miasta, zastanawiał się pan Kazimierz nad tem, jaka to Józia jest praktyczna, jak ona to schowała tę setkę za pończochę, aby nie zgubić... To mu się bardzo podobało, lubił bowiem porządek i zatarło przykre wspomnienia rozmowy ze służącym hotelowym.

Z Tarnowa wyruszyli państwo Kazimierzowie w dalszą drogę. Ale pani Józefa uważała już na to, aby nie zajeżdżać do hoteli, gdzie mogła spotkać... „starych znajomych".





— Ty śpisz?
— Zasnęłam nad tym nudnym romansem. Żona męża zdradza!... To takie pospolite!... To samo mam w życiu!



— Lolu! tyś taka smutna! Powiedz mi, co masz na sercu?
— Jak pan widzisz: trochę koronek bez sznurówki!



— Ta dama vis-a-vis ma być pańską kochanką. Od jak dawna trwa wasz stosunek?
— Od czasu, gdy jej mężowi podpisuję weksle!



— Widziano cię z Elzą w gabinecie!... Co tam z nią robiłeś?
— To samo, co z tobą w pierwszych dniach po ślubie!



— Dobrze! Jeżeli mi nie kupisz jesiennego kostyumu, będę tak po ulicy chodziła!... Może się znajdzie jakie litościwe męskie serce, które mnie okryje!



Za kulisami.

— Czy podobam ci się tłuścioszku w nowym tańcu?

— O tak, Mimi!... ty swojemi nogami przewróciłaś mi w głowie!



— Zdaje mi się, że już panią gdzieś widziałem. A czy pani mnie pamięta.

— Być może!... Czy pan nie jesteś ajentem policyjnym?



— Ha! co to jest! Ktoś wkradł się tutaj? W lusterku widzę jakąś obcą męzką twarz, W sam czas przybywa, bo w przedpokoju czeka moja krawcowa!

Ferdek Eleuteryk.



Zaczynom być w strachu, czy mi sie przypadkiem natura nie odmieniła, czy nie jestem jak to mówią brzany „w takim stanie“, to jest, czy mi bocian nie był zaglądający tam, gdzie nie trza. To nie byłoby klawo, choć mógłby człowiek być na tem zarabiający grube chopy. Bo. gdyby tak było, zaroz znalozby sie przedsiębiorca, który byłby mnie po świecie obwożący i za chopy ludziom, jako dziwo pokazujący, zupełnie jak te brzane, któro miała obrośnięty cały cyferblat, niczym pirszy lepszy chłop.

A co do owygo odmienienia sie u mnie natury, to przypuszczam to z tygo powodu, iż od jakigoś czasu miwam różne zachcianki, czygo dawnij nigdy nie byłem miwający. A to jest, jak godają brzany, najlepszy znak, że tam na wnetrzu nie jest tak, jak być powinno.

Tak kiedyś zachciało mi sie śliwek i kupiłem font. Sfrygołem wszystkie, nie chcący ani jednej uronić, bo takie drogie. Wypadają trzy śliwki za marke, ale zato jedna jest z dziurami (z chrobokiem), jedna zgniło, a jedna jeszcze zielono.

Gdym je wsunał, poczułem, że mnie coś gniecie w dołku. Potym mi sie zachciało, ale już nie śliwek... Maciek napecznioł mi, niczym krowa po świżyj koniczynie, a gdy rznięcie w kichach było coroz winksze, przypomniało mi sie naprzód żółte niebezpiczyństwo, a potem czerwone i już myślałem, że bede kopyta w tak młodym wieku na żywot wieczny wyciagający. Aby moim spadkobiercom nie robić kłopotu, a panu radcy Wolnemu nie dać zarobić, chciałem w pirszyj chwili pojechać trawałajką pod cmentorz i tam skończyć pod murem doczesny żywot. Ale mi sie przypomniało, że to się nie opłaci, bo teroz tramwajowe płaci się trzy marki od osoby, a zresztą żal mi było wynosić się z tygo świata, bo to kużdy jest życie kochający. I przypomniało mi sie, co nagrypsoł jeden wielki poeta, co sie wabił Kopiernik: „Szanuj zdrowie należycie, bo jak umrzesz, stracisz życie“.

Z tygo powodu, zamiast pod cmyntorz, poknajołem do jednygo znajomygo doktora, aby mnie ratowoł.

Ten, zanim mnie ogladnon, kozoł se naprzód zapłacić sto marek, potem wraził mi termometr pod pache, kozoł wywalić jęzor, a to kosztowało znów sto marek. Za dalsze sto opukał mnie i obsłuchoł i wraził palec tu i tam i zaczon pytać, gdzie mnie boli. A jo se pomyślołem, że od dokotra to madrzejszy jest weterynorz czyli doktór od chudoby, bo teu sie pacyentów o nic nie pyto. Chyci krowe za ogon i już wi, co jij doligo. Ciekawy jestem czy, gdyby tak mnie chycił za ogon, zgadł, co mnie boli... Ale prowda, że jo nimom ogona!...

Potem pan doktór nagrypsoł receptę, kozoł se za nią zapłacić znowu sto marek i przyknajać za trzy dni.

— A gdybym przed tym umarł? — pytam się.

— To pan już przychodzić nie potrzebuje! — odpowiedział. Radził mi jeszcze, bym sie ciepło trzymał, jadł same delikatne potrawy, a pił same naturalne trunkowości, wody sie wystrzegający, jako iż w niej pływają różne mikroskopiczne potwory, które zagrażają zdrowiu i życiu. Zapomniał mi powiedzieć skąd wziąść hopów na takie jadło i pijaństwo. Ale może i lepiej, że nie powiedzioł, bo kozołby se zato z pewnością dopłacić jeszcze sto marek.

Z receptą jak drut poknajołem do aptyki, gdzie mam znajomygo pigularza. Ten naloł coś z jednej flachy, potym z drugiej, nawdzioł na nos okulory i jak mi zacznie rachować, tak wyliczył, że to likarstwo bedzie kosztować na dwieście siedmnaście marek i dwadzieścia trzy fenigi. Prosiłem, aby choć fenigi opuścił, peda że nimoże, bo to cały jego zarobek...

— A ile też przed wojną kosztowała ta mikstura? — spytałem, bo to dziś pytanie nic nie kosztuje.

— Trzydzieści sześć halerzy!... — odpowiedział.

Schowałem flaszeczkę do doliny, obawiając się, by się nie rozbiła i myślę se, że taki drogi lek to musi pomódz, choć kręciproszek rzekł na odchodnem:

— Gdyby nie było skutku, nie moja wina!... Teraz mamy same surogaty!... W kuždym razie dałem, co miałem najlepszygo!...

Idący do domu rozmyślałem nad tem, że teroz i chorować się nie opłaci, i że najtaniej wypadnie umrzeć naturalną śmiercią, bez doktora i aptyki... I śpiwałem se pod nosem: „Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, ale kosztujesz, aż się zepsujesz!...



Wspomnienia z dawnych czasów.

Dwa młode, wojenne małżeństwa, żyły ze sobą w ogromnej przyjaźni, czemu się i dziwić trudno, gdyż panie, jak opowiadały, były koleżankami i „stały nawet na jednej i tej samej pensyi“, a panowie pracowali w tym samym zawodzie.

Co niedzielę oba stadła urządzały spacery za miasto. Szło się raz tu, to znowu tam, panie naprzód, panowie za niemi.

W ubiegłą niedzielę wybrali się ulicą Długą, potem Kamienną w stronę „czarnego osła“. Gdy się znaleźli w ulicy Kamiennej, panie zaczęły chichotać, pokazując sobie pewien na uboczu stojący dom i coś żywo rozprawiać.

— Cóż was tak zajęło?... — pyta jeden z mężów zaciekawiony.

— E!... Nic!... My sobie tylko odświeżamy wspomnienia z tych czasów, gdy razem byłyśmy na pensyi!... – odpowiedziała jedna za obie.

— Czy w tym domu?... — rzucił mimowolne pytanie młody człowiek, ale nie otrzymywał na nie żadnej odpowiedzi.

A jednak był skutek.

Jeden z naszych lekarzy, znany szeroko w naszem mieście nie tyle z swych zdolności, ile z tego, że się cały dzień obija po różnych lokalach, ma zwyczaj, gdy mu się skarży któryś ze znajomych na jakieś cierpienie, radzić, aby zażył na przeczyszczenie, a gdyby to nie pomogło, by się udał do specyalisty.

Tę radę dał i panu radcy, który narzekał, że ogromnie kaszle.

W kilka dni później spotykają się znowu, a radca dziękuje za poradę, gdyż skutek był nadspodziewany.

— Zatem kaszel ustał? — pyta lekarz.

— Dusić, dusi mnie — radca na to — ale muszę się przyznać konsyliarzowi, że się boję kaszleć!... Pan wie, ile teraz trzeba płacić za pranie!...



List Kantka do Antka.

I.

Słuchaj Antek, to ci szopa!
Zbaranieje Europa!
Słuchaj Kantek! niech cholera!
Znasz „Polonię“ u Drobnera?
Słuchaj Kantek! niech cię kolka
Czy ty znasz naszego Bolka?
Od Krakowa aż do Gniezna
Któż go miły brachu nie zna,
Co chciał wtrynić *na ser mater!*
Operę na nasz tyjater!
Wreszcie kwestya rozwiązana
Jak się dowiedziałem zrana:
Jest opera u Drobnera
Pod wezwaniem czarnej kawy
Dopiął swego Bolek klawy!...

* * *

Już pisano razy z dwiesta
By ustała owa kwesta
Gdzie paniusie i dziewuchy
Wyłudzają grosz do puchy!
Wyjdziesz brachu – to ci frajda
Już do ciebie brzana majda
I nadstawia, gdzie cię spotka
Swoją puszkę: wsadź do środka!
Wielką jest płci pięknej władza
Więc kto może, to i wsadza,
Dobrych ludzi u nas nie brak
Wsadza bogacz, wsadza żebrak
Lecz ja na mój rozum sądzę:
Gdzie to idą te pieniądze?
Czy prawdziwie ludzie biedni
Mają to na chleb powszedni
Lub sieroty na koszulki?
Nie! wszak pewne dwie damulki
(Mówił Wicek od „Naprzodu“)
Mają kram z tego powodu
Bo (wybaczcie zwrot nieścisły!)
Z puszki *hopy* wszystkie *świsły*,
Wicek klnie się na sumienie,
Że jest karne dochodzenie
I do kozy pójdą obie –
Dobrze im tak! – myślę sobie!.
Więc damulki i dziewuszki
Pochowajcie wasze puszki,
Na kawały już nas nie brać!
Żebrz dla siebie, gdy masz żebrać!

* * *

Czem paskarze dziś się karmią?
Przedewszystkiem naszą armią;
Robią niby to dostawy
Z Wiednia, Berna i Ostrawy,
A kupują ci żołnierzu
Szpargały na Kazimierzu
I tam z firmą Marguliesa
Robią świetne interesa.
„Pol“ nazywa się ta banda –
Celem spółki jest zaś granda.
Z kompetentnej wiem to strony,
Że zrobili już miliony.
Prowadzili „geszeft“ świński
Petit, Noworol, Zieliński,
A była to spółka bycza
Przy udziale Zdanowicza.
Ma ich sprawę Bogu dzięki
Prokurator dzielnej ręki –
Co ich czeka? – to rzecz prosta
Kulka w łeb, co najmniej chłosta.

* * *

Oto kotku mój jedyny
Są ostatnich dni nowiny.
Co się dowiem – oczywiście
Napiszę ci w drugim liście!
Jak na teraz – uścisk dłoni,
Caj-psa w ogon, Twój

Antoni.



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Herkules był swojego czasu w kłopocie, znalazłszy się na rozstajnych drogach. Jam, choć Herkulesem, ani nawet Cyganiewiczem nie byłem nigdy, miałem teraz trudniejszy wybór, stały bowiem przedemną do wyboru trzy drogi. Lloyd George radził, abym pojechał do Rygi (w ścisłem tego słowa znaczeniu nie w przenośni!...), marszałek Foch zapraszał, bym się razem z nim wybrał do Ameryki, a Giolitti chciał mnie koniecznie zabrać ze sobą do Rzymu.

Ta ostatnia podróż najbardziej mi się uśmiechała, o ile wogóle podróż może się uśmiechać, gdyż dowiedziałem się z gazet, że we włoskiej polityce bałkańskiej nastąpił zwrot, którego punktem wyjścia miał być zjazd króla Wiktora Emanuela z teściem, emerytowanym królem czarnogórskim i znanym hodowcą rasowej nierogacizny, poczciwym Mikołajem, mym serdecznym przyjacielem. Od roku nie wiem, co się z nim dzieje, ucieszyłem się też bardzo, wyczytawszy tę wzmiankę. Bodaj wiem, że żyje, choć nie wiem, gdzie się obraca, dzienniki bowiem podały bardzo lakoniczne o tym zjeździe wzmianki.

Na razie przecież nie pojechałem nigdzie, dokucza mi bowiem reumatyzm, którego się nabawiłem podczas ciągłych podróży. Zdaje się, że najbardziej mi zaszkodziły londyjskie mgły. Specyaliści radzą mi, bym się udał do Afryki i tam na Saharze rozpoczął kuracyę słoneczną, która nie tak dawno pomogła p. Clemenceau, iż o mały figiel nie ożenił się mimo swych lat siedmdziesięciu z okładem. Ja się wprawdzie żenić nie mam potrzeby, choć proponują mi tu jedną wdowę i to wcale jeszcze niczego, sądzę przecież, że odpoczynek już by mi się należał. Czy jednak Lloyd George da sobie radę bezemnie?

W Afryce bawił także na kuracyi i pan Dmowski i zebrał tu tyle sił, że macie z nim znowu tylko kłopoty.

Na Afrykę będzie zresztą dość czasu, gdy się wyklaruje narazie sytuacya polityczna.

Najbardziej mnie boli, że nie mogłem wziąć osobistego udziału w zjeździe Lloyd George'a z Giolittim w Szwajcaryi. Ale trudno!... Nie wiedziałem, dokąd jechać, jedne z pism podały bowiem, że mają się spotkać w Lucernie, drugie, że w Lozannie. I bądź tu z tego mądrym. Już to wogóle nasze pisma nie grzeszą zbytnią ścisłością. Niedawno czytałem w jednem z nich telegram z Temeszwaru, donoszący o wkroczeniu wojsk bolszewickich w granice Persyi. W szkole uczono mnie, że Temeszwar jest miastem węgierskiem, a w Persyi leży Teheran, być jednak może, że Rada Najwyższa, zmieniając mapę całego świata przeniosła Temeszwar do Persyi, a gazety zapomniały o tem donieść.

Obeszło się jednak bezemnie na tym zjeździe szwajcarskim. Z Giolittim widziałem się w Paryżu, dokąd przybył *incognito* (dlatego o tem nie pisano!...), specyalnie w tym celu, aby się widzieć ze mną.

O ile stan mego zdrowia pozwoli, byłbym bardzo rad, gdybym się mógł dostać do *Aix les Beines*, gdzie się ma odbyć znowu zjazd. Wielki polityk, tej miary co ja, może być na to przygotowany, że trzeba mu się bawić w żyda wiecznego tułacza i podróżować z jednego kąta w drugi.

Widziałem się i z panem Grabskim, gdy bawił w Paryżu. Bardzo się ucieszył, gdy mnie zobaczył i przez trzy godziny z rzędu opowiadał mi o swych staraniach celem uzdrowienia polskich finansów. Narzekał tylko, że papier zbyt drogi, skutkiem czego zbyt wiele kosztuje drukowanie naszych banknotów. Prosił mnie także, abym mu pozwolił na nowej emisyi banknotów tysiącmarkowych umieścić moją podobiznę, przez co zyskałyby większą popularność za granicą. Opowiadał mi o swych nowych projektach podatkowych, z czego wnoszę, że Polska będzie z czasem najszczęśliwszym krajem na kuli ziemskiej, mając pełne kasy, byle tylko ludzie mieli z czego płacić.

Dotąd spotykałem się głównie z Lloydem George'm i miałem sposobność przekonać się, że to nie jest taki zły człowiek, jak go niektórzy przedstawiają. Ma bardzo czułe serce i serdecznie współczuje z każdym, komu się źle wiedzie. Gdy w sierpniu dowiedzieliśmy się w Londynie, że Trocki dostał w skórę pod Warszawą, Lloyd George chodził jak struty. Wysłał też zaraz depeszę kondolencyjną do Cziczerina tej treści:

„Serdeczne wyrazy współczucia. Zmartwiła mnie zwłaszcza wiadomość, że straciliście dwie trzecie swej artyleryi. Proszę nie tracić nadziei, bo ona matką wszystkich polityków. Przy tej sposobności mogę wam zaoferować dostawę armat i amunicyi, które były przeznaczone dla Polski. Towar w dobrym stanie, cena umiarkowana. Sprzedaż tylko za gotówkę. O ile Kamieniew-Rosenfeld ma w tym kierunku pełnomocnictwa, mógłbym zaraz rozpocząć pertraktacye. Na Warszawę wpłynę, aby się wam zbyt nie dobierała do skóry. Trzymajcie się Niemców, a wyjdziecie na tem dobrze".

Co do Gdańska to zdecydował się, aby Polacy mieli zupełnie swobodny dostęp do portu, a Tówerowi, za jego obojętność dla interesów naszych, tak nakiwał palcem w bucie, iż mu się rozlazła ostatnia para i musiał ją dać do podzelowania. Skutkiem tego przez cały tydzień siedział w domu, a gazety doniosły, że jest chory.

— Clapson! — zapytał mnie, gdym go odwiedził — lubisz śledzie?

— Naturalnie! — odpowiedziałem.

— To mnie cieszy!... będziecie mieli swoje własne polskie śledzie i będziecie mogli jeździć sobie po nie do Gdańska, kiedy wam się spodoba!...

— A inne rzeczy, naprzykład broń i amunicyę, będziemy także mogli przez Gdańsk przewozić?

— Oczywiście!... Bez zastrzeżeń, tak, jak to postanowił traktat wersalski, ale pod tym jednym warunkiem, o ile nabędziecie je w Anglii, a Niemcy na przewóz się zgodzą. Ale Niemcy to bardzo porządni ludzie, oni wam krzywdy nie zrobią, a i my z was zbytnio skóry nie zedrzemy!

Jak dotąd wszystko składało się dla nas jak najpomyślniej. Państwo Paderewscy załatwili w Paryżu sprawę cieszyńską, ja w Londynie gdańską, niech jeszcze delegacya pokojowa w Rydze zrobi swoje z Rosyą, wszystko będzie w porządku.

A że można być przy nadziei, że z Rosyą dojdziemy do porozumienia, jeśli nie zaraz, to może później, wnoszę to z wypadku, jaki miał ks. Sapieha w lecie pod Warszawą (patrz *Kuryerek* z dnia 10 września). Wedle ludowych tradycyi oznacza to powodzenie w przedsięwzięciu. Sam się o tem przekonałem, gdy mi się raz śniło coś podobnego i to, że tylko wlazłem w to nogą!... Postawiłem wtedy na loteryę siódemkę i wygrałem. Siódemka to bardzo szczęśliwa liczba, a ten interes, którym się pan Sapieha powalał na jawie, jest w senniku egipskim oznaczony właśnie siódemką, która w Polsce uważaną jest za „żydowską liczbę". A nie zapominajmy, że w Rydze będziemy mieć do czynienia właśnie z synami Izraela, gdyż na czele sowieckiej delegacyi pokojowej stanął Adolf, syn Abrahama, Joffe. Prognoza zatem bardzo pomyślna, a pan Sapieha przeboleje łatwo powalanie sobie kamizelki, którą zresztą łatwo wyprać.

Nawołują, że polska dyplomacya nie robi tyle co powinna, każdy przecież widzi z tego, że zarzuty te nie są na miejscu. Każdy z nas robi co może, dowodem choćby ja i pan Sapiecha. Staramy się i zabiegamy wszyscy razem i każdy z osobna, narażając się na różne nieprzyjemności, skutek więc musi być, a gdyby go nie było, to nie nasza wina!

O ile konferencya w *Aix la Boines* skończy się na czas, mam zamiar udać się do Moskwy, dokąd mnie zaprosił Trocki, abym z nim spędził razem święta Kuczek. Uczynię to tem chętniej, iż mam z nim parę ważnych spraw do omówienia, zwłaszcza zaś leży mi na sercu sprawienia sobie pary butów juchtowych na zimę (z cholewami, jak nosi pan prezydent Witos...), a wiadomo, że w Rosyi skóra tania, a Trocki-Bornstein właśnie nią handluje, o ile mu na to pozwalają polityczne zajęcia.

W drodze do Moskwy zawadzę może i o Kraków, uściskam wtedy wszystkich osobiście, a teraz czynię to przez papier.

Kłaniam się!

Klapa.

Nauczył się na wojnie.

(Podsłuchane).

— Słyszałeś?... Władek się żeni!

— Z kim?

— Z panną Julią.

— Nie zazdroszczę mu!... Wprawdzie ma pieniądze, a to dziś grunt, ale to już stary grzmot!... Nie wiem, czy da radę!

— Mój kochany!... Sześć lat bawił na wojnie, tam nauczył się przedzierać przez druty kolczaste, to i tutaj da sobie radę!...

NADESŁANE.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Kaczmarskiego.



LEKARZ: **Wybitna gorączka nerwowa!... Czy pani nie miała jakiego zajścia? Czy mąż panią szanuje?**
PACYENTKA: **Otóż to panie profesorze!... Szanuje, szanuje aż zanadto!**